



Aleksander Volta objaśnia Napoleonowi Bonaparte działanie swego elektrycznego ogniwa.

Włodzimierz Krzyżaniak

Nauka i człowiek

NAUKA, WSPANIAŁY WYTWÓR LUDZKIEGO UMYŚLU, JEST PRZEDMIOTEM SŁUSZNEJ DUMY SPOŁECZENSTWA. LICZĄCY JUŻ TYSIĄCLECIA DOSTOJNY POCHÓD NAUK BYWAŁ WSZAKŻE I PRZEDMIOTEM KRYTYCZNYCH OSĄD. WYCHODZIŁ ON ZARÓWNO Z SAMEGO POCZTU UCZONYCH, ŚWIADCZĄC O RZETELNOŚCI I ODWAGIE ICH CHARAKTERU I UMYŚLU, CZEGO RÓŻNE PRZYKŁADY DOSTARCZA HISTORIA METODOLOGII NAUK, JAKO TEŻ ZE ZWARTEGO TŁUMU SPOŁECZENSTW, KTÓRE KIERUJĄC SIĘ TYLKO ZDROWYM ROZSĄDKIEM I SWOISTYM INSTYNKTEM PRAWDY SYGNALIZOWAŁY ZEJŚCIE POCHODU NAUK Z „KURSU”, DYKTOWANEGO CZUŁĄ „BUSOLĄ” NA-

UKOWYCH I SPOŁECZNYCH KRYTERIÓW.

NIE SIĘGAJĄC DALEKO, WIDZIMY, JAK OTO NA NASZYCH OCZACH SPOŁECZENSTWO WARTOŚCIUJE NAUKĘ POLSKĄ, KRYTERIA, KTÓRYMI NIERAZ ZE SZKODĄ DAŁA SIĘ POWODOWAĆ, CELE, KTÓRYM NIERAZ Z UJMA DLA SIEBIE SŁUŻYŁA. Z TRYBUNY PARLAMENTARNEJ USŁYSZELISMY OSTATNIO GŁOS NAUKI POLSKIEJ. ZABRAŁ GO W JEJ IMIENIU W ŚWIETNYM PRZEMOWIENIU PROF. DR STANISŁAW KULCZYŃSKI, A POPRZEDNIO JESZCZE UCZYŃIŁA TO NA SWYM AREOPAGU POLSKA AKADEMIA NAUK. BYŁY TO AKTY OSTREJ, KRYTYCZNEJ SAMOCENY, TO BUDZI RESPEKT I PRZYWRACA NAUCE BLASK. UCZENI SĄ WSZAKŻE TEŻ TYLKO — LUDZMI, ŻYJĄ I PRACUJĄ NIE DLA NAUKI SAMEJ, ALE DLA DOBRA I POZYTYWU LUDZKOŚCI. OTO PUNKT WYJŚCIA NASZEJ ROZMOWY O „NAUCE I CZŁOWIEKU”.

Ludzką wita z entuzjazmem osiągnięcia nauk. Wzobogacenie naszych wiadomości o Wszechświecie i człowieka przemawia do wyobraźni każdego, a błyskawicznie po prostu rozwój nauk, zwłaszcza przyrodniczych, stawa się imponującą swym rozmachem Nową Epokę. Czy ten entuzjazm jest usprawiedliwiony w pełni?

Blaski atomistyki, nędze wiedzy o człowieku

Czy pochod nauk jest harmonijny? Czy nie stosuje zbyt rygorystycznych, pancernych klinów wypadkowych w obszary nauk, nęcące tajemniczością i perspektywami Nieznanego, pozostawiając jednak odkryte i niczym nie zabezpieczone ogromne obszary wiedzy o człowieku? Każdego nieuprzedzonego obserwatora musi na przykład zaniepokoić współczesna dysproporcja między olśniewającymi sukcesami fizyki jądrowej, rozpalać sztuczne słońca wybuchów atomowych, a niedowładem choćby: medycyny, psychiatrii, psychologii, pedagogiki, socjologii, niezdolnych ciągle w mózgu upośledzonego dziecka rozpaść słońce — podatnej do rozwoju inteligencji! Dlaczego problem „trudnego dziecka” ma być dla matki i wychowawców problemem trudniejszym niż w nukleonice wyodrębnienie cząstki neutronu?

Na całym świecie wyrastają zakłady-giganty badań jądrowych, a równocześnie zakłady, służące postępowi badań nad zdrową psychiką i bujną intelektualnie jednostką ludzką, traktowane są, jako „piąte koło u wozu”. Glob Ziemi opływają już atomowe okręty, a równocześnie, nie tylko bynajmniej w Polsce, istnieją Kcy-

nie, gdzie pedagogiką specjalną zajmują się najpospolitsi oprawcy. Te dysproporcje wielokrotnie można by mnożyć. One to są kamieniem obrazu nowożytności cywilizacji świata! Przeciwny współczesny Amerykanin, chlubiący się naj wyższym standardem cywilizacyjnym, zostałby niezawodnie starty w pył w intelektualnym starciu przez bosoego Greka ze starożytnej akademii Platona. Kultura wlezie się też w ogień cywilizacji.

Gdyby Galileusz, Newton, Einstein i inni geniusze nauk skierowali potęgę swego umysłu na inne dziedziny, na pewno świat wyglądałby dziś inaczej. Te gorzkie żale Carrela, niestety, są i pozostaną tylko retoryką. Jest bowiem rzeczą wyboru genialnych umysłów, by nawet samotnie wyruszać w trudną i bohaterską wędrówkę

ko Kochów i Pasteurów. Jest też rzeczą ich wewnętrznego gestu zrozumieć, że o pomoc nauk coraz żarliwiej woła Carrelowski „człowiek, istota nieznaną”!

Społeczne kryteria nauk

„Prawdą, według nauki, jest to, co jest zgodne z doświadczeniem i wolne od sprzeczności. Żadnych innych kryteriów prawdy nauka nie zna” — takimi słowami w ostatnim tygodniu z trybuny parlamentarnej zdeklarowała się nauka polska.

Rzecz w tym, że oprócz tych dwóch kryteriów prawdy, trzeba właśnie „istotom nieznanym”, zwykłym szarym ludziom, upomnieć się głośno u nauk o jeszcze jedno, bardzo

MIŁOŚĆ, CHLEB i ZAZDROŚĆ

Sen z powieki sprzedato włoskim producentom filmowym niezwykle powodzenie filmu „Miłość, chleb i fantazja”. Wobec tego przystąpili oni do nakręcania dalszego ciągu tego obrazu pod tytułem „Miłość, chleb i zazdrość”. Gina Lollobrigida i „aktor nr 1” filmu włoskiego Vittorio de Sica (na zdjęciu) nadają temu filmowi wiele niezwykłego uroku, humoru, cieniutkiej ironii, obok treści pełnej humanizmu.



Maciej Maria Kozłowski

Ojczyzna

Na początku było słowo,
potem był wiersz:
słowo to była miłość
niebieska rzecz.

Z tego wyrosła ziemia
topolna i wierzbiana,
moja ojczyzna piękna i trudna
jak macierzyństwo.

Eugeniusz Wachowiak

Pieta cygańska

Przy głowie koniokrada
madonna w koloru papuzie
mrok przy niej cichy siada
jak głaz.
Cygan w jeziorze cekinów szukał
czy gwiazd?
Pieta w taborze.

Potem żółty się toczy wóz — księżyc
w dolinę
bez koniokrada.
Nieszczęścia takie są duże
jak las.

istotne kryterium — kryterium społeczne.

W amerykańskim laboratorium-gigancie w Los Alamos, specjaliści fizyki jądrowej wyłowili niepochwytą od prawie ćwierć wieku cząstkę neutrino. Przed 20 już laty niezawodne narzędzie matematyki przepowiedziało teoretycznie jej istnienie. Było to wówczas kwestia obliczeń, które wypełniły tylko jeden wieczór. Ale w roku 1955 zidentyfikowanie fizyczne neutrino okazało się kwestią pełnych — 12 miesięcy nieprzerwanej walki całego sztabu najtęższych specjalistów! Jest to wspaniały triumf nauk. Sięgniecie do najgłębszych tajników mikrokosmosu i budowy materii. Triumf porównywalny trafnie z matematyczną przepowiednią najdalszej ze znanych planety, Neptuna, i — znowu dopiero później — wyciągnięcie jej teleskopem z mrocznych przestrzeni naszego układu. To znowu siłowanie w nieznaną mikrokosmos i budowę Wszechświata!

Odkrycia takie, to ogrom trudny i nakładu środków. Nikt rozsądny nie będzie ich kwestionować. Nauka musi mieć nieograniczone techniczne warunki badań, będąc w stanie stwierdzenia faktów w zwaną tylko przez kryteria prawdy. Dlatego cały świat cywilizowany z zajęciem śledzi badania w Los Alamos i Moskwie, dlatego opinia polska z radością wita wznoszące się w Krakowie mury zakładu badań jądrowych.

Ala ta sama opinia świata i naszego kraju powitałaby z niemięszym aplauzem powstawanie równocześnie laboratoriów — gigantów terapii izotopów — promieniotwórczych. Rak, największy morderca ludzkości, jest groźniejszym partem niż cząstka neutrino. Jest wrogiem społecznym całej ludzkości, a nie tylko pewną niewiadomą w równaniu, opisującym mechanizm mikrokosmosu. Odpowie ktoś, że nauka pracuje bez rozgłosu i, niewątpliwie, badania nad zastosowaniem promieniotwórczych „bomb” w naukach lekarskich nie są zaniedbywane. Trudno wątpić, by tak nie było, ale są znaki na niebie i ziemi, że rozmach i natężenie tych badań w skali całego świata przypomina ogarek wobec płażącego stosu na tle fantastycznego wysiłku w laboratoriach fizyki jądrowej.

(Ciąg dalszy na str. 5)

J. Halagowski

Można...

W przyszłość
można iść na piechotę,
jechać wózem lub koni,
rowerem, samochodem, samo-
lotem.

Zło
można całować po rękach,
zło można mieć obojętnie,
ale można jak psa spętać
łańcuchem z praw.

Człowieka
można wieść na postronku,
na handel, na sprzedaż,
lecz można do jego domu
zanieść skibę chleba
z okładem słońca.

Można i tak i tak.

Biorę cię za ramię — Przyja-
cielu —
pójdźmy do góry
po koszyk tego słońca
dla tych w dolinie.

Julian Rynowiecki

Ludziom

z prowincji

I błoto waszych dróg roztopionych
i przestrzeń lasów zjeżona bagnietem
i dach przemokły niedolą przeszłą
i rower listonosza
z balastem gazet i wieści nagłych
waszą niepewność i troskę pogłębia.

Wiem — kaczy jak bocian
powraca w to samo miejsce
i lubi dym z chałup mierzwią ogrzanych;
on czarne ma skrzydła
od sadzy spalonych waszych nadziei.

Ala uwierzyć w głos swój
po izbie rozsypany
z dwunastu lat dziurawych.

NASZ felieton

Przypomnijmy sobie jak to jeszcze rok temu w poznańskim świecie kulturalnym aż bulgotało od nie kończących się rozmów przy czarnej kawie, w czasie konferencji z udziałem „czynników”, a także tu i ówdzie na łamach. Wśród narzekania, uchwał i obietnic rodziła się „Nurt”. Tymczasem czytelnicy oczekiwali i czekali, uroz-

poznawskie nie będzie przypominało modelu „Nowej Kultury”, czy też „Życia Literackiego”, a raczej będzie czymś w rodzaju „Poznańskiego „Po prostu” — czasie konferencji z udziałem „czynników”, a także tu i ówdzie na łamach. Wśród narzekania, uchwał i obietnic rodziła się „Nurt”. Tymczasem czytelnicy oczekiwali i czekali, uroz-



maicać sobie czas słuchaniem plotek, których tematem była „walka” o poszczególne fotele redakcyjne.

Doczekano się (decyzji) bodaj że w lecie br. — ale już po Szczecinie, Bydgoszczy, Olsztynie i...Kielcach. Znowu trochę zaszumiło, zagrzęziały nieco przesuwane fotele redakcyjne i na tym skończyła się organizacja.

Przyszedł wreszcie numer nadzwyczajny, wkrótce potem pierwszy — ukazał się „Tygodnik Zachodni”.

Zdaje się, jak wynika z zapowiedzi ogłaszanych drukiem w powodzi redaktorów i tego, co już mogliśmy przeczytać, że pismo ma duże ambicje stać się periodykiem nie tylko regionalnym i zachodnim (choć to są jego główne zadania) — ale również zamierza odegrać niemałą rolę w dyskusji ogólnopolskiej. A więc przypuszczalne polemiki z Koźniewskim, Siekierską, Putramentem. Polemiki z „AT-em” już czytaliśmy (vide felieton Koguta w nr. 1 „Tygodnika”).

Ambicje pisma nie ograniczają się zresztą tylko do poruszania ważkich tematów, ale odnosi się również do zapewnienia sobie współpracy pióro i osoby: na razie wymienia się Cاتا, oglądaliśmy nazwisko Kirchmeyera. Do roboty wzięli się już i nasi poznańscy publicyści z Miedzińskim i autorem „Listów spod lipy” na czele. Koguta w „Życiu Literackim” zastąpił Korczak.

Po przewertowaniu pierwszego numeru „Tygodnika Zachodniego” ma się wrażenie, że charakterem swoim czasopismo

„Tygodnika” do katowickich „Przemian”.

Nie chcę sympatycznym, ale pełnym temperamentu i czasami żółci, kolegom z „Wybojów” odbierać pierwszeństwa w nadsładowaniu „Po prostu”, niemniej wydaje się, że może być lepiej dla publicystyki polskiej, gdy o berło przodowania w tej dziedzinie ubiegają się będą również inne pisma.

Podkreślam jeszcze raz: własne bojowne publicystyka. Znamy atmosferę Poznania sprzed pół roku, w której znieczulica, skostnienie i asekurantwo zbierały krawawe żniwo w pałacach i siedzibach ciagle na swych stołach, nie zagrożeni. W mieście naszym, w którym bojowość i rewolucyjność przebiła głosem robotników i młodzieży studenckiej — występują jeszcze do dziś tu i ówdzie w łonie tzw. czynników, konserwatyzm, asekurantwo i inne brzydkie cechy (np. niedawne wystąpienia na sesji WRN, krytykujące nową „Gazetę Poznańską”). Właśnie dlatego, w piękny grodzie Przemysłowa, potrzebna jest twórcza i odważna publicystyka w prasie. Mam nadzieję, że „Tygodnik Zachodni” poniesie ten sztandar z chwałą i sławą i nie potknie się na wybojach, jakich jeszcze pełno w naszym doczesnym życiu.

Pierwsze „koty za płoty”, mimo kilku złośliwych błędów korektorskich, wypadły bardzo obiecująco. Co będzie dalej? Nie wątpię, że „Tygodnik Zachodni” będzie walczył.

Bogusławski przy Trasie W-Z

Coś nowego zaczyna dziać się w teatrach poznańskich. Na słupach reklamowych rozklejone afisze, na których Zbigniew Kaja wystylizował elewację Teatru Polskiego na wzór antycznej świątyni Melpomeny, ze szczególnie aktualnym dziś napisem „Naród sobie“ w pośrodku.

Równocześnie, na tych samych afiszach, pojawiło się nazwisko „wykształciucha i ojca sceny narodowej“, Wielkopolanina Wojciecha Bogusławskiego, którego „Szkoła kobiet“ Teatr Nowy zainaugurował sezon teatralny.

W wyborze Bogusławskiego nie chcieliśmy doszukiwać się tylko symbolicznego gestu teatru, podkreślającego solidarność z tradycją postępowego i narodowego nurtu sceny polskiej.

Nazwisko Bogusławskiego na afiszu teatralnym kojarzy się z pojęciem wysokich aspiracji artystycznych teatru, uzasadniających aktualność jego ideowych poszukiwań. Wybor sztuki Bogusławskiego winien otwierać perspektywę do nowego i świeżego spojrzenia na jego twórczość i epokę. „Szkoła kobiet“ w Teatrze Nowym nie potwierdza oczywistości tego dezyderatu.

Stanisław Hebanowski ostrzega nas w programie teatralnym, że „Szkoła kobiet“ nie jest dzisiaj dla nas jedynie próbą oświeceniowego przeszczerpienia Moliera na teren polski, jest przede wszystkim obrazkiem dawnej Warszawy, pokazującym w konwencjach ówczesnego teatru — kawałek konkretnego życia.

Gdy kurtyna unosi się w górę, przecieramy ze zdumienia oczy; czegoś nie ma tam na scenie! A więc solidny wiejski dworek, z balkonikiem, kolumnkami i gzymskami odrobionymi z podziwu godną pedanterią. Na ganek przed dworkiem nie wybrawszy sobie spotkania Telimena z Tadeuszem, raczej spodziewaliśmy się tam zastać gromadkę dzieci pracowników PGR Głino — rodowej siedziby Bogusławskich. Obok dworku w donicze — kikut drzewa, czyli niedokończony abstrakt sąsiadujący z tym naturalistycznym potworkiem. Na tylnym planie sceny kolorowa pocztówka z Trasy W—Z z królem Zygmuntem na kolumnie. W ten sposób pokazał nam scenograf „kawałek konkretnego życia“ w stylu moralności pani Dulskiej i „konwencję ówczesnego teatru“ — oglądane go z okienka współczesnego fotoplastikonu. Nie wiem, czy o to chodziło Stanisławowi Hebanowskiemu.

Bogusławski po przeróbce „Szkół żon“ Moliera blił się w pierś i przepraszał jego cienie. Wielki artysta i mistrz sceny zdawał sobie sprawę, że wyjąłowił zupełnie tragicomedję Arnolda z jej arcy-ludzkiej, psychologicznej problematyki, zastępując bogactwo myśli i finezję słowa Moliera — prymitywnym komizmem sytuacyjnym.

Bogusławski wyznaje, że zostawił czytelnikowi sztukę taką, jaka przez lat czterdzieści ciągle wystawiana była. Cały nasz, jakże głęboki za to, szacunek dla niego i wdzięczność bez granic. W owym czasie, gdy scena polska z jak największym trudem dźwigała ciężar konkurencji z zagranicznymi trupami aktorskimi, gdy publiczność utożsamiała teatr z cudzoziemszczyzną, słuszne były zabiegi Bogusławskiego, aby uznanych u niej twórców obcego dramatu i komedii ukazać w polskiej wersji.

Transkrypcje sceniczne Bogusławskiego miały charakter doróżnej aktualności, dlatego literacko-artystyczna wartość jego dzieł zbladła dziś niepomieranie. Większość jego sztuk znamy już tylko z tytułów. Tym bardziej więc nie uważamy, aby akurat „Szkoła kobiet“, która arcydzieło Mollerowskiego nie dorasta do pięt — zasługiwała na wznowienie.

Reżyser czynił rozpaczliwe wysiłki, aby w kolorowym fotopla-



stikonie, jaki zastał na scenie, uwiarygodnić zagrania aktorów; ożywić staroświeckie figurynki Bogackich, Rozsądnickich i Staruszkiewiczów. Próbował przemycić do Bogusławskiego niektóre chwytły farsowe, rozbudowując dzięki nim kilka komicznych se nek.

Molierowi postawiono zarzut, że do napisania „Szkół żon“, sporo materiału zaczerpnął z dwóch komedii Lope de Vegi. Nie wiem, czy wiedział coś o tym młody reżyser Teatru Nowego — Ryszard Sobolewski. Bądź co bądź w zgrabnie wystylizowanej farsowej scenie uprowadzenia Anusi — uderzyły mnie, dziwnym trafem, metody scenarzysty Sykały z... „Nauczyciela tańców“ — Lope de Vegi.

„Szkoła kobiet“ Bogusławskiego wystylizowana farsowo! Myślę, że w tym kierunku należało pójść konsekwentnie od początku do końca i w konwencjach nowoczesnego teatru, wyśmiać bezlitośnie atmosferę obyczajową komedii łącznie z rubasznym czerepem starożytności Bogackiego i „kochającym Anusię“ fireykiem w zalotach. Reżyser stanął jednak w połowie drogi. Jego niezdeterminowanie odbijała kreacja Sewruka — Anzelma. Artysta ten z dużym unikiem i zrozumieniem efektu scenicznego lawirował umiejętnie między Bogackim na serio i nie na serio, pomiędzy rejentem Milczkiem a częstym Raptusiewiczem, których starał się rozróżniać w sobie z poczuciem humoru i satyry. Najbardziej nutki parodystycznej był Kamiński w roli Filutowskiego; im bliżej jednak końca, rysunek jego postaci pogrubiał się coraz bardziej do zbędnej szarży włącznie. Robaczewski (porucznik) zachowywał w tej polityce sceniczej ścisłą neutralność; nie zadeklarował się po stronie staroświeckiego kontusza, który z taką godnością i dostojenstwem dźwigał jego papa Staruszkiewicz (Siliwski); nie wykpił jednak również jego fanfaronady.

Elbińska (Anusia) miała urok naiwnej gąski, której ostre pazurki zadrasnąć mogły do krwi zadufanego w swoją siłę, podtatusałego zalotnika. Budzący się erotyzm Anusi nie wybuchnął jednak z większą siłą, gdyż drugi, młodszy zalotnik mało ją do tego prowokował. Ratajska (Felusia) wniosła na scenę ruchliwość i aktywność sprytniej subretki z Mollerowskiej komedii; grała z wdziękiem i umiarkowanym rozmachem.

Nie ujrzelśmy na scenie Chryzalda, który komentował monolog Arnolda, odbijające jego narastające niepokój. Rozsądnicki (Detkowski), brat Anzelma, był zgodnie z przepisem Bogusławskiego nudnym i zręcznym gadułą. Para nieokrzesanych służących — Maciek i Bartek, szczerze komiczna, uderzała w ton trafnej groteski. Graczyk (Maciek) czynił to bardziej świadomie i z wyraźnością, „Zużu“ — Zembrzusi zaś raczej spontanicznie. I jeżeli Hebanowski każe nam śmiać się z tego, co „dla Bogusławskiego było neutralnym tem obyczajowym“, to chyba jednym z nie-licznych obrazków tego tła, które jeszcze dziś pozostało, będzie nieruchoma maska prostackiego gburą, pokazana nam przez „Zużu“. Trawestując teraz komentarz Hebanowskiego do „Szkół kobiet“ stwierdzamy, że dzisiaj, kiedy możemy grać Moliera w przekładach Boya i Korzeniowskiego, nie wracajmy do Bogusławskiego; jego teatr jest już tylko zabytkiem i narodową pamiątką. Grajmy więc „Szkół kobiet“ w jej oryginalne Mollerowskim i przy pomocy Boya.

Po stokroć miał rację Bogusławski pisząc, że: „Należy, ażeby Teatr Narodowy stosował się zawsze do czasu, i usuwał wszelkie staroświeczyny, dogadzał smakowi i zdaniom obecnego pokolenia“.

Bogdan DANOWICZ

„Szkoła kobiet“ — Wojciecha Bogusławskiego w Teatrze Nowym. Reżyseria: Ryszard Sobolewski, scenografia: Adam Bilski. Na scenie (od lewej): Zbigniew Graczyk (Maciek), Aleksander Sewruk (Anzeim) i Józef Zembrzusi (Bartek).

Andrzejowi Matuszewskiemu

Nacisnąłem biały guziczek dzwonka, który rozśpiewał się w głębi mieszkanie, jak kanarek za pretami klatki. Otworzyła mi niezwłocznie moja najukochańsza, w białej sukience z czerwonym paskiem, który uwidatniał jej dziewczęce biodra i drobne piersi. Całowaliśmy się tak długo aż nie uchyliły się drzwi od kuchni, przez które zajrzała tutaj pyzata twarz starej sługi. Moja najukochańsza odskoczyła do lustra, poprawiła sobie włosy, powiesiła moje palto i rzekła: — Chodź.

Mrucząc „zaczyna się, zaczyna się“ wszedłem za nią do pokoju, w którym przy okrągłym stole siedzieli rodzice mojej najukochańszej. — Aaa, to pan — powiedział mężczyzna. — To ten pan? — spytała kobieta. — Aniutko, to ten pan, prawda? — ciągnęła, mrugając szybko oczami, jakby mnie nie poznała.

— Ja — powiedziałem, kłaniając się w progu. Tak było za każdym razem.

— Ale ten deszcz dziś pada, tego owego — rzekł pan domu. kładąc ręce na kolanach.

— Pada — powiedziałem. — Deszcz — powiedziała pani domu.

— Deszcz — rzekłem. — Aniutka opowiadała nam o panu — powiedziała kobieta i położyła ręce na kolanach.

— Właśnie, dużo nam o panu nagadała, ta Aniutka, tego owego — powiedział gderliwie mężczyzna, nie zmieniając swej pozycji.

Moja najukochańsza usiadła przy mnie, kładąc ręce na kolanach. Deszcz siekł bezlitośnie szyby. Pani domu westchnęła, ona bardzo często wzdychała.

„Aha, za chwilę wyjdzie do kuchni“, pomyślałem, „już czas“.

Jakoż rzeczywiście wstała i potoczyła się w kierunku głosu starej sługi. Wróciła z serwetą, którą ruchem wędkarza rzuciła na stół. Na środku usta wiła flakon z daliami.

Przystąpiliśmy do kolacji. — Trzy — powiedziałem, po dając panu domu półmisek z wędliną.

— Tak jest — zgarnął trzy duże kawałki szynki, obok których uformował pagórek chrzanu, wyciągniętego widelcem ze słoika.

Moja najukochańsza nalała mi płat szynki bez stoniny (niedomagam na wątrobę — jak ona o tym pamięta!) i przy stole zapanowała względna cisza.

Pod koniec posiłku moja najukochańsza nalała mi herbaty, wpuszczając do szklanki plasterki cytryny i trzy kostki cukru.

Powiększa się obszar Holandii

Holandia obchodziła niedawno niecodzienne święto; znowu jedna część zatoki Zuiderzee została wydarta falom na skutek odcięcia jej od pełnego morza. Ostatnia luka w 90-kilometrowej tamie uległa zaryglowaniu i w ten sposób grunta o powierzchni 50 tysięcy ha oddane zostaną pod uprawę.

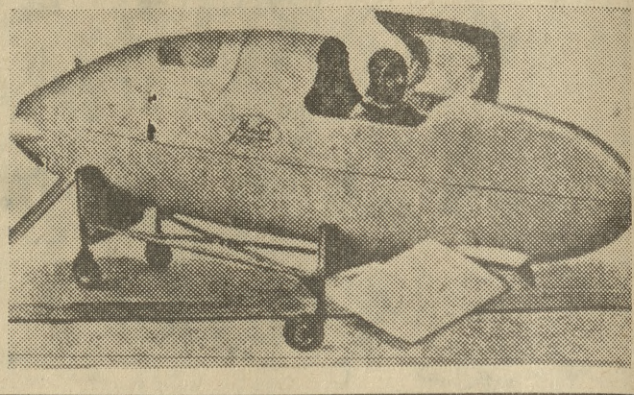
Jednocześnie podjęły prace gigantyczne stacje pomp, których zadaniem będzie osuszenie wyrwanej morzu ziemi. W tym celu w okresie 8 miesięcy przepompowanych zostanie półtora miliarda metrów sześciennych wody. W sierpniu roku przyszłego na nowozdobitych terenach rozpoczyna się wielkie roboty melioracyjne, przy czym plany przewidują zakończenie akcji osiedleńczej w najbliższych trzech latach.

Pięć lat trwała praca nad skonstruowaniem olbrzymiej tamy a koszt jej wyniósł 135 milionów guilderów holenderskich. Nowy obszar otrzymał nazwę „Oost Flevoland Polder“ i jest trzecim z kolei terenem, który został zdobyty przez odcięcie pewnej części Zuiderzee. Prace przy pierwszym odcińku obejmującym powierzchnię 20 tysięcy kilometrów kwadratowych, zakończone zostały w roku 1930, a przy drugim terenie (40 tys.

km kw), roboty doprowadzono do końca w roku 1942. Czwartym dalszym obszarem który figuruje w planach inżynierów holenderskich jest część Zuiderzee leżąca na południowo - zachodniej stronie zatoki i obejmuje powierzchnię 40 tysięcy km.

Ostatnia wreszcie faza odbierania morzu ziemi, obejmie obszar 45 tys. km kw powierzchni gruntów. Zakończenie ogółu prac nad powiększeniem powierzchni ziem uprawnych przewidywane jest na rok 1985. (j)

czyć do łodzi mały motor elektryczny, pracujący na suchych bateriach. Pod wodą łódź może rozwinać szybkość 7—8 km na godz. Nadaje się ona do użytku na niewielkich głębokościach, do 5 m. Wystarczy to jednak dla interesujących obserwacji morskiego dna i podwodnych przechadzdek.



— Trzy? — spytała — Tak, tak — powiedzia-

łem. Po pierwszym łyku pomyślałem nagle: „Na niego już czas“... i zaraz odwróciłem głowę w tamtą stronę.

Spał oparty na łokciu. Kolacja była skończona. Deszcz bębnił o szyby, wstaliśmy.

— Dziękuję — rzekłem z szunciem do pani domu i czekałem co ona mi na to odpowie. „No mówże, no“... pomyślałem, „no, no... przepraszam“.

— Przepraszam — powiedziałam. — Chodź.

Stara sługa w chusteczce związanej pod brodą zajęła się

brze wiesz, że nigdy dłużej to nie trwa...

— A masz mydło? — spytałem ją jeszcze.

Znowu w jej oczach odmalowało się pewne zdziwienie.

— Pewno, że mam — powiedziałam już w przedpokoju, gdzie wisiało moje palto i kapelusz. Po trzech minutach na drugim łóżku w przyległym pokoju rozległo się powtórne, tylko już nieco cieńsze stęknienie czołowieka zadowolonego z życia. Do saloniku wbiegła lekko, tanecznym krokiem moja najukochańsza z płaszczem kąpielowym w zielone, pionowe pasy.

— Chodź — rzekła — pyszna gorąca woda, już leci...

C Z E S Ł A W M I C H N I A K



porządkowaniem stołu, a my młodzi przeszliśmy do saloniku. Moja najukochańsza powiedziała:

— Dziś jest ten dzień.

— Ach, rzeczywiście, sobota — powiedziałem wesoło.

Spojrzała na mnie ze zdziwieniem i powiedziała: — Czemuś właśnie taki, czemu?

— Ach, nie — roześmiałem się, szczypiąc ją lekko w policzek, co niezmiennie lubiła.

Zagrała na pianinie jakieś tango w tonacji moll, ja zaś zajęłem się przeglądaniem albumu z wyblakłymi fotografiami antenatów. Dziadkowie, babki i inni wstępni mojej najukochańszej spoglądali pustymi twarzami ze zdjęć grubych i poślódkich. Trzymali ręce na kolanach.

W sąsiednim pokoju usłyszałem szelesty. Zobaczyłem pana domu, którego zdążyło już o-budzić. Miał na sobie płaszcz kąpielowy w czerwone, pionowe pasy, podobne koszulki noszą piłkarze Cracovii.

— Weź mydło, przyjdę zaraz i ci plecy wytrę — powiedziała do męża pani domu.

— Gdzie mydło, nie ma mydła, tego owego... — zachrypiał ze złością.

Wtedy on się zawsze niecierpliwił.

Po kwadransie kładł się z jękiem rozkoszy do łóżka a w szparze drzwi ukazała się pani domu w płaszczu kąpielowym w brązowe, pionowe pasy.

Moja najukochańsza zerwała się od pianina.

— Zaraz przyjdę — rzekła do mnie — tylko umyję plecy mamuści.

— Oczywiście trzy minutki — powiedziałem.

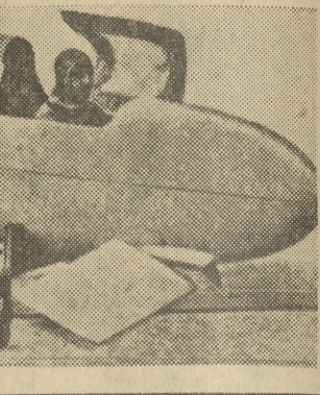
— Tak jest — rzekła z pewnym wyrzutem, — Wszak do-

Sportowa łódź podwodna

Jak donosi angielski dziennik „International Graphic“ miniaturowa łódź podwodna „Minsub“, wyprodukowana przez firmę „Kalif“, nadaje się do uprawiania pociągającej podwodnej wędrówki.

Łódź posiada niewielkie rozmiary i mieści dwóch ludzi. Waży około 175 kg. Poruszana jest przez śrubę połączoną wałem z pedałem nożnymi. Pedały mogą wprawiać w ruch zarówno obaj pasażerowie, jak i każdy z osobna. Można też podłą-

czyć do łodzi mały motor elektryczny, pracujący na suchych bateriach. Pod wodą łódź może rozwinać szybkość 7—8 km na godz. Nadaje się ona do użytku na niewielkich głębokościach, do 5 m. Wystarczy to jednak dla interesujących obserwacji morskiego dna i podwodnych przechadzdek.



— Już?? — Jeszcze chwileczkę — powiedziałem głośno i wyszedłem na klatkę schodową.

Na ulicy spojrzałem w górę, na żółtą zasłonę padał cień mojej najukochańszej, grała ciągle to tango o miłości i pocałunkach, czekała, aż powiem „już“.

— Już — rzekłem do konduktora w tramwaju, który zawiózł mnie na dworzec. Wykupiłem bilet do A. Miałem jeszcze godzinę czasu, wstąpiłem więc do zatłoczonej poczekalni. Nagle w fali ludzkiej wepchniętej do środka zobaczyłem moją najukochańszą z czerwonymi oczami, idącą jak lunatycka w drugą stronę sali. Szukała mnie wzrokiem. Podniosłem kołnierz palta i nałożywszy czarne okulary wymknąłem się do hallu, gdzie było już o wiele bezpieczniej, bo jeszcze tłocz-

niej. Kobięcy głos wywołał pociąg do A. Odetchnąłem z ulgą, ale okazując w przejściu bilet zauważyłem, że i ona szła za mną nie widząc mnie, ponieważ tego wieczoru było na prawdę dużo ludzi w podróży. Jej ruchliwe oczy myszkowały na prawo i lewo a jasny, kremowy płaszczyk ściągł mnie aż na peron. Gdy zajechał pociąg wskoczyłem szybko do pierwszego lepszego wagonu, tak żeby ona mnie przypadkiem nie dostrzegła. Gdy ruszał widziałem jak stała w grupie mężczyzn, kobiet i dzieci, powiewających chusteczkami i wpatrywała się w okna wagonów. Cofnąłem się przeto w głąb przedziału i ogarnięty strachem ukryłem za jakimś otyłym mężczyzną w kapeluszu. Mimo to ją widziałem. Była zaplakaną i bardzo nieszcześliwą.

Potem otrzymałem od niej dwa listy, na które nie odpisałem. Za jakiś rok dowiedziałem się, że wyszła za mąż za lekarza z gabinetem ginekologicznym. Ów lekarz podobno kupił sobie płaszcz kąpielowy w zielone, pionowe pasy i powiesił go na czwartym, wolnym kołeczku w łazience.

Potem otrzymałem od niej dwa listy, na które nie odpisałem. Za jakiś rok dowiedziałem się, że wyszła za mąż za lekarza z gabinetem ginekologicznym. Ów lekarz podobno kupił sobie płaszcz kąpielowy w zielone, pionowe pasy i powiesił go na czwartym, wolnym kołeczku w łazience.

Potem otrzymałem od niej dwa listy, na które nie odpisałem. Za jakiś rok dowiedziałem się, że wyszła za mąż za lekarza z gabinetem ginekologicznym. Ów lekarz podobno kupił sobie płaszcz kąpielowy w zielone, pionowe pasy i powiesił go na czwartym, wolnym kołeczku w łazience.





Pablo Picasso: Młodzi. Litografia, 1950 r.

O nowe drogi w badaniu i nauczaniu historii

Z okazji dwóch jubileusów: 70-lecia Polskiego Towarzystwa Historycznego i 50-lecia Warszawskiego Tow. Miłośników Historii, obradował w Warszawie w ub. miesiącu — sejmik historyków polskich. W zjeździe uczestniczyło ponad 120 historyków. Poznańskie środowisko naukowe reprezentowali: prof. dr W. Jakóbczyk, prof. dr Z. Kaczmarski, doc. dr C. Łuczak, prof. dr J. Matuśzewski, prof. dr J. Pajewski, prof. dr K. Pivarski, prof. dr W. Rogala, prof. dr M. Szaniński i prof. dr Han na Ziółkowska.

Na całość obrad złożyły się sprawy organizacyjne Polskiego Towarzystwa Historycznego i dyskusje naukowe w sekcjach, które stanowiły właściwy trzon zjazdu. Charakter jubileuszowy miały referaty prof. dr. Serejskiego z Łodzi i prof. dr. Man-teuffla o 70-letnich dziejach Polskiego Towarzystwa Historycznego i w współpracy z Warszawskim Towarzystwem Miłośników Historii. Prof. dr H. Gąsiorowska przedstawiła zarys prac planowanych w najbliższej przyszłości. Część organizacyjną zakończyło przyjęcie nowego statutu odpowiadającego zadaniom współczesnego Towarzystwa oraz wybór owych władz.

Prof. dr W. Jakóbczyk, uczestnik zjazdu, w rozmowie z naszym przedstawicielem na zapytanie, co było przedmiotem obrad oświadczył:

— Obrady toczyły się w pięciu sekcjach: historii powszechnej, najnowszej historii Polski, nauk pomocniczych historii, kształcenia młodej kadry historyków i sekcji historii regionalnej. Wspólną cechą tych obrad była krytyka aktualnej „polityki naukowej” w tych zakresach i próby wytyczenia dróg naprawy dotychczasowych niedomagań.

W toku dyskusji podkreślano wielokrotnie konieczność zapewnienia nauce historii warunków swobodnego rozwoju, zerwania z komenderowaniem na uką i narzucania jej przedmiotów badania, a nawet, co gorsza, rozwiązań naukowych. Wysuwano dezideraty przestrzegania zasady kompetencji naukowej w kierowaniu poszczególnymi odcinkami tworzości i produkcji naukowej. Domagano się ułatwienia kontaktów z nauką zachodnią. Żądano również zabezpieczenia istniejących zasobów archiwalnych i udostępnienia ich bez ograniczeń pracownikom naukowym. Co do mnie — powiedział dalej prof. dr Jakóbczyk — brałem udział bezpośrednio w pracach sekcji kształcenia młodej kadry historyków, uważając, że bardzo ważną jest ta kwestia ze względu na przyszłość nauki historii i nauczania oraz popularizację historii, gdyż rozwój tej nauki zależy będzie od właściwego przygotowania naszych następców.

W czasie obrad poddano ostrej krytyce aktualne programy nauczania i podręczniki szkolne, a także sposób przygotowania nauczycieli historii do zawodu. W sprawie tej wysuwano deziderat zwiększenia czasu przeznaczanego na przygotowanie do zawodu nauczycielskiego (łącznie z praktyką pedagogiczną), gdyż do zawodu tego kieruje się około 90 proc. absolwentów studiów historii. Młodzi nauczyciele, biorący udział w obradach, uskarżali się na złe praktyki władz szkolnych w dziedzinie zatrudniania magistrów historii. Prócz innych wysunięto także deziderat umożliwienia nauczycielom historii na prowincji pracy badawczej w zakresie historii regionalnej. Zjazd przysłał ponadto wnioski o powrót do 3 stopniowego systemu a-

wansu naukowego (magisteriat, doktorat i habilitacja), co łączy się z zerwaniem z obecnym systemem kandydatów naukowych.

Jak określono zadania Polskiego Towarzystwa Historycznego w najbliższej przyszłości? — Trzeba odróżnić oddziały PTH w ośrodkach uniwersyteckich od oddziałów prowincjonalnych. Zgodnie z tradycją tego Towarzystwa uznano za obowiązek opiekę w pierwszym rzędzie nad ośrodkami prowincjonalnymi i pobudzenie w nich prac badawczych, łącznie z zapewnieniem publikacji. Dalej wskazano na konieczność kontynuowania współpracy z ośrodkami metodycznymi dla nauczycieli historii oraz z Tow. Wiedzy Powszechnej. Zjazd uznał za niezbędną współpracę PTH z prasą i radiem w celu zapewnienia właściwego poziomu popularyzacji historii. Poruszono również na zjeździe sprawę udziału historyków w ustalaniu nazw z zakresu historii — ulic, placów, instytucji, zakładów itp.

Zjazd zaprojektował zorganizowanie ogólnopolskiego zjazdu historyków w 1953 roku, najprawdopodobniej w Poznaniu.

Walne zebranie delegatów PTH mianowało kilku członków honorowych, a wśród nich prof. dr Kazimierza Tymienieckiego z Poznania.

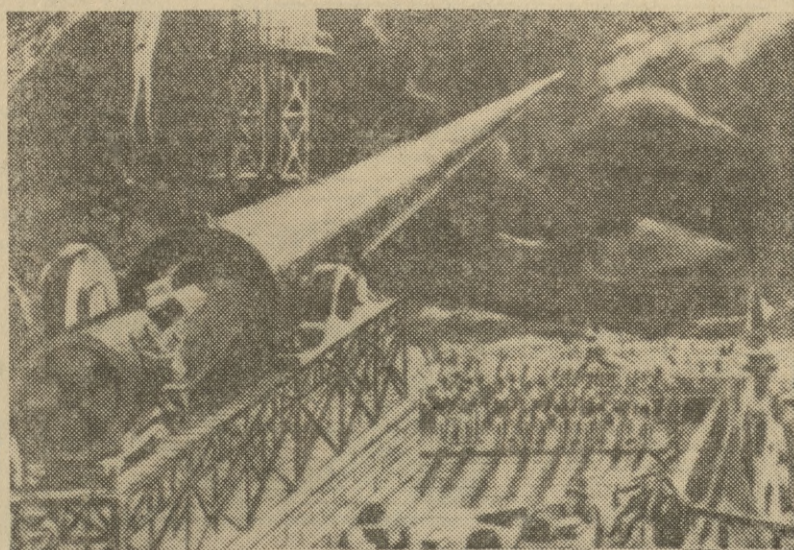
Rozmawiał H. BARAŃSKI



Chudzielec w mgnieniu oka...

Z zawodu był sztukmistrzem. Zdziwił ludzi najrozmaitszymi sztuczkami ze znikającymi przedmiotami, z wybuchającym nieoczekiwanym ogniem. Później dorobił się własnego teatru. Pewnego dnia ujrzał pierwsze filmy braci Lumière. Zbudował w roku 1898 atelier w Montreuil i zaczął kręcić filmy. Sam malował do nich dekoracje, sam wywoływał taśmy, kopiował ją i demonstrował widzom w swoim teatrze. Ba — niektóre filmy nawet kolorował ręcznie, klatkę po klatce. Byli to przeważnie bajki, krótkie ko-

...sam malował do nich dekoracje... (pocisk międzyplamnetarny, projekt sceny, narysowany przez Mélièsa).



DWIE WYSTAWY

Od specjalnego wystannika „Głosu”

Pożyteczny powrót :: W skali od metra do lat świetlnych :: Radar i lotnictwo, czyli precyzja i szybkość :: Bez bałaganu, ani rusz :: Warszawa patrzy z nabożeństwem na... hulajnogi :: Czas zacząć bez podpowiadania.

Mroźna pogoda panująca od paru dni w stolicy nie potrafiła warszawiaków zatrzymać w niedzielne popołudnie w domach. Ci, którzy nie udało się zdobyć biuletów do kin i teatrów — spieszyli do Pałacu Kultury i Nauki lub do CDT.

W pierwszym z gmachów rozgosiła się wystawa UNESCO „Człowiek Mierzy Świat”, w drugim — ekspozycja towarów powszechnego użytku produkcji (państwowej) NRD.

Byłem zawsze kiepskim matematykiem, fizyka do dziś stanowi dla mnie nieomal czarną magię, dlatego wystawę UNESCO oglądałem okiem laika, sąd mój zatem nie może być autorytatywny. Niemniej przekonany jestem głęboko o dużej wartości dydaktycznej wystawy, jak również o dotkliwych stratach poniesionych przez społeczeństwo nasze z powodu bezsensownego bojkotu UNESCO ze strony naszych stalinowców w minionych latach. Powrót Polski do tej organizacji może przynieść i już przynosi tylko pożytek.

„Człowiek Mierzy Świat” jest czwartą wystawą obywatelsko-naukową, zorganizowaną przez UNESCO. Jak pisze prasa warszawska, ma ona ruszyć do naszych miast wojewódzkich, niestety, nie wymienia się w ich liczbie Poznań. A szkoda! Wystawa, najogólniej mówiąc, poświęcona jest technice i przyrządom używanym do pomiarów długości lub odległości — od najmniejszych do największych.

W czterech salach na czwartym piętrze Pałacu — dziesięć działów prezentuje nadzwyczaj interesujące planse, przyrządy i eksponaty. Dział pierwszy omawia problemy tzw. skali ludzkiej (metr); drugi

— poświęcony jest skali drobno-ustrojów (mikron); dalsze nawiązują do skali wirusów i wielkich drobin (milimikron), skali atomowej (angstrom), wnętrza atomu — by nagle przeskoczyć do skali wyrażanej kilometrami (odległości geograficzne), skali układu słonecznego, odległości międzygwiazdowych mierzonych latami świetlnymi i... przestrzeni dzielących galaktyki! Wreszcie dział ostatni zapozna ze zwiędzających z drganiami elektromagnetycznymi, bez których trudno sobie wyobrazić nowoczesne metody pomiarów.

Przepraszam za ten niezamierzony wstęp z dziedziny fizyki, zupełnie nie dający Wam obrazu — co w istocie na omawianej wystawie można zobaczyć.

A więc, obok precyzyjnego wzorca metra — zwyczajne teodolity, obok miniaturowego planetarium — precyzyjne mikroskopy z preparatami. Są liczni Geigera — Muellera do wykrywania radioaktywnych promieni, wysoko precyzyjne aparaty notujące radioaktywność kawałka rudy uranu, nowej za pomocą błysków lampki i efektów dźwiękowych. Nader cennym urządzeniem wydał mi się mikroskop z projektorciem, rzutującym na stół obraz preparatu.

Młodzi entuzjaści fizyki tłoczyli się jednak przede wszystkim przy urządzeniu rozdzielającym światło na tęcze barwy oraz przy aparaturze radarowej. Pamiętacie brytyjski film „Okrutne morze” i mały ekranik urządzenia radarowego, na którym omiatający tarcze wizerka wskaźnik ostrzegał przed hitlerowskimi piratami? Taki sam aparat prezentowany jest na wystawie UNESCO. Opodal zobrazowano poglądowo fotogrametrię — nowoczesną metodę badania wysokości wznięślię za pomocą zdjęć lotniczych; dwa, wykonane z różnych miejsc zdjęcia umieszczają się w aparacie zwanym stereografem i wyznacza wysokość

punktów terenu z dokładnością do jednego metra!

Byłbym zapomniat o fotokomórce, która budzi zrozumiałe zainteresowanie. Ustawiona w wejściu — odlicza przekraczających próg wystawy widzów.

Człowiek mierzy świat coraz doskonale, w coraz to nowe zapuszczając się rejony, dawniej ludzkiej myśli niedostępne. Pamiętajcie: Jeśli byś was bogi, albo — co jest prawdopodobniejsze — służbowe delegacje zawiodły do Warszawy, nie omieszkajcie odwiedzić wystawy UNESCO w Pałacu Kultury.

Wystawa w „Cedecie” nie jest naukową; niechybnie jednak ma znaczenie dydaktyczne dla naszego nieporadnego prze-mysłu lekkiego. Chociaż — bo ja wiem? Od paru lat fachowcy z tego resortu mają możność uczenia się — np. na Targach Poznańskich, gdzie cała Europa prezentuje swe wytwory i nie, albo — prawie nie.

Co gorsza, specje od lekkiego przemysłu (i chyba handlu) nie nauczyli się organizować po ludzku wystaw, czego dowodem ta, o której piszę. Piąte piętro CDT zostało szczelnie zamknięte; dostać na wystawę można się było w niedzielę tylko po zdobyciu szturmowej miejscy w windzie. O tym, oczywiście, nikt nie informuje obywateli na dole. Po co? Skoro wejść na czwarte piętro po nieczynnych schodach ruchomych — przekonają się sami, że droga na piąte jest ordynarnie zagrodzona deskami. Jest to wystawa niemieckiej myśli i polskiego bałaganu.

Czy wystawa niemieckich wyrobów przemysłowych jest atrakcyjna? I tak — i nie. Dla poznania-

ków, nawiązków do ekspozycji w wielkim stylu, jakimi są MTP, oglądających w zasadzie co roku towary niemieckie — eksponaty na V piętrze CDT nie są rewelacją. Wystawa jednak cieszy się w Warszawie niesamowitym powodzeniem. Ludziska „wala jak w dym” entuzjazmując się zarówno luksusowymi motorówkami, wystawionymi (obok samochodów „P-70” i „Wartburg”) na wolnym powietrzu, wysokiej klasy radiami, jako też elektryczną kolejką „Pico”.

Trudno oprzeć się poczuciu pewnego zawstydzenia, gdy patrzy się na tłumy mieszkańców największego w Polsce miasta, oglądających z nabożeństwem nie produkowane w kraju estetyczne hulajnogi, przyzwioite lampy sufitowe, a zwłaszcza najrozmaitsze przyrządy ułatwiające prace kuchenne. Czy Niemcy pokazali coś nowego w porównaniu z tym, co widzieliśmy na tego-rocznych Targach? Tak. Praktycznie z napędem... na piecyk węglowy, telewizory „Olivia”, oryginalnie obudowane radiodiodobiorniki „Bastein” i „Veroline”, większy wybór zegarków, piękne lampy, nowe typy magnetofonów. Dla mnie osobliście „szalową” była orgia radiodiodobiorników. Niedzielną „Trybuna Ludu” zamyka sprawozdanie wystawy stwierdzeniem: „...Wystawy oglądane przez dużą ilość osób mogą podpowiedzieć handlowcom, co znajduje popyt wśród klientów”.

Nie wiem, czy jakiegokolwiek podpowiadanie jest tu potrzebne, a jeśli tak — czy zostanie uwieńczone jakimkolwiek skutkiem. Fakt jest, iż wszystkie z zaprezentowanych przez NRD towarów (poza może luksusowymi radiomagnetofonami adapteroszafami) cieszyłyby się ogromnym powodzeniem. One po prostu wszystkie są nam potrzebne. Między innymi dlatego, że są estetyczne, solidnie wykonane i że nie mają nic wspólnego z „lipą”.

Piotr ŻYCKI

Nauka i człowiek

(Ciąg dalszy ze str. 1)

Tragiczne, że zasięg tych badań wyznaczały potrzeby strategii. Ludzkość musi zacząć z pozerającymi ją nowotworami, paraliżem dziecięcym, paradoksami „geografii głodu”, bo na razie... są zadania „pilniejsze”. Wydaje się, że mści się tu właśnie zlekceważenie społecznego kryterium nauk. Nauki winny służyć prawdzie, ale i dobru ludzkości. Inaczej będą tylko rozwiązywaniem rebusów.

Aspekt ten wpływa nie tylko w obrazie wielkich laboratoriów badawczych, utrzymywanych staraniem wszystkich prawie w tej chwili większych państw świata, ale zaskakuje nas i w skromnej pracowni badacza — jednostki. Dla lekarza cierpiący człowiek jest jeszcze jakże często tylko „ciekawym przypadkiem” chorobowym w naukowej kartotece, z której o publikowaniu pilno dla sławy swego nazwiska. Dla biochemika, sporządzającego laboratoryjne analizy krwi chorego, społeczne kryterium nauk nie jest bynajmniej zawsze bodźcem do tym właśnie sumiennejszego przestrzegania kryteriów prawdy, skoro chodzi o życie ludzkie! Dla prawnika i pedagoga — występała lub oporna jednostka ludzka nie stanowi weale zawsze zachęty do społecznego i nieuprzedzonego spojrzenia na nią, odzyskania jej lub wychowania, ale tylko suchy substrat paragrafu czy ministerialnej instrukcji.

O nową „busole”

Żeglując wśród mgły, nie wątpimy przez chwilę, że poza mgłą istnieje brzeg. Nauka żegluguje wśród mgieł splecionych i sprzecznych faktów, nie wątpiąc też przez chwilę, że poza nimi istnieje absolutna Prawda, która, prędzej czy później, wytoni się przy umiejętnie utrzymywanym „kursie” na kryteria prawdy. Nauka nie żegluguje sama! W jej ręce bowiem złożyła ster cała społeczność ludzka, która czeka lądowania nie tylko na prawdziwym, ale i szczęśliwym brzegu.

Janusz BINIEK

Włodzimierz KRZYŻANIAK

Tysiąc diabelskich dowcipów

medyjki, inscenizacje współczesnych wydarzeń. Ale najwięcej sławy przyniosły mu filmy fantastyczne. Oto istic Verne-owskie tytuły niektórych: „Zdobycie bieguna”, „Podróżna Księga”, „Czterysta diabelskich dowcipów”. Tutaj właśnie po raz pierwszy na świecie zastosowano na szeroką skalę tzw. tricki filmowe, aktualne do dziś dnia.

Natura sztukmistrza ciągnęła go do rzeczy dziwnych, a ogień z czarodziejskiej pałeczki można było wyzwarować o wiele łatwiej przez sklejenie taśmy filmowej niż na scenie. W krótkiej komedynie pt. „Hydroterapia” chudzielec w mgnieniu oka zmienia się w grubasa, w innym filmie — z rozkwitającego kwiatu wylania się postać dziewczyny. Fantastyczne maszyny lądowały na ospowatym księżycu, posiadającym oczy, nos i usta... To właśnie były diabelskie dowcipy, z których — po czterdziestu paru latach — wyrosły „Piękności” i „Claira”.

A dowcipów tych były doprawdy tysiące. Niektórzy historycy wymieniają cyfrę 4000 filmów „wielkiego maga” ekranu.

Nie dziwny się, że kosztowało go to czasem wiele trudu i mokołu. Technika filmowa miała dopiero powstać, a nie wszystko można było „załatwić” montażem. Dziś, kiedy twórca filmowy chce zapełnić ekran fantastycznymi postaciami olbrzymów i karłów, wykorzystuje chytne prawa perspektywy. Po prostu aktor, przebrany za olbrzyma, znajduje się o wiele bliżej kamery niż aktorzy grający ludzi „normalnych”. Człowiek ma dwoje oczu — i „na jawie” potrafiłby dostrzec oszustwo. Kamera filmowa jednak tylko jednym okiem — obiektywem, który nie widzi „plastycznie”, nie widzi głębi, rejestruje wszystko w jednej płaszczyźnie.

Ale Méliès — bo o nim tu mowa — kręcił swe filmy w pierwszych latach XX wieku. Toteż swego wielkoluda ze „Zdobycia bieguna” (rok 1912) skonstruował „uczciwie”. Była to olbrzymia aparatura, poruszana skomplikowanym systemem lin, dźwigni, bloków i kołowrotek. Olbrzym jak żywy poruszał rękami, głową, chwytając aktorów w swe szpony... Pu-



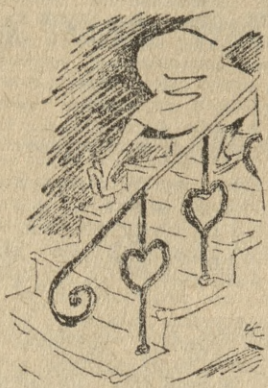
...zmienia się w grubasa.

bliczność wstrzymywała oddech i długo biła brawo. Nikt jeszcze nie dał jej tyle udu i prawdopodobieństwa zarazem. Nikt jej nie pokazywał tak fantastycznych historii, w których brali udział żywi, normalni ludzie.

Méliès kręcił swe filmy na scenie. Widać było nawet kawałek kurtyny. Ale jego fantastyka była bardzo filmowa. Czy historię lotu na księżyc może pokazać inna sztuka aniżeli film?

I właśnie dlatego nazwisko Georges Mélièsa weszło na stałe do historii kinematografii. Dla braci Lumière kamera filmowa była tylko rejestratorem życia chwytanego na gorąco. Dla Mélièsa była czymś nieporównanie większym — widział w niej narzędzie, dzięki któremu można dosłownie pokazać i widziwi historie, jakie dotychczas widział jedynie we śnie. „Fabryka snów” powstała w roku 1898.

Później, kiedy wybuchła I wojna światowa i kiedy film zaczął stawać się wielkim przemysłem, nazwisko Mélièsa zniknęło z ekranu. Sądono powściągnąć, że zaginął. Po wielu latach, zupełnie przypadkowo, odkrył go jakiś dziennikarz na dworcu paryskiego Montparnasse. Wielki autor „tysiące dowcipów” sprzedawał zabawki w dworcowym kiosku...

Na przyjęcie
Muzy

Mówiła, że przyjdzie
do mnie o piątej
Wtedy wierzyłem
a teraz wątpię.

Idzie.

Słyszysz na schodach
jej kroki — to ona...
już oczy przynikam
i biorę w ramiona.

Puka.

Biegnę do drzwi
i otwieram, by witąć,
a serce jak młot wali.

Przyszła.

Tak, lecz stróżka
po kluczu od pralni.

„Rozkoszna dziewczyna“ — czyli krok naprzód na drodze w tył

Napisała dr Georginia Młodziejowska

Do Redaktora

„NOWEGO ŚWIATA“

w miejscu

SZANOWNY PANIE REDAKTORZE!

Jak Panu już wiadomo, od zarania mojej działalności publicystyczno-informacyjnej szczególną troską otaczam młode autorki. Nie dziwnego, jeżeli weźmie się pod uwagę, ile sił żywotnych drzemie w ich możliwościach.

Georginia Młodziejowska jest najmłodszą reprezentantką starszego pokolenia. Nie jeszcze nie drukowała, ale uczyniła to. Jako mecenas sztuki pisarskiej — mam odwagę przesłać Panu Redaktorowi jej ostatnią, niezwykle interesującą pracę.

Szlachetna ta kobieta, p. G. Młodziejowska, z sympatii do Pana Redaktora postanowiła zrzec się honorarium na korzyść mojej skromnej osoby.

Z poważaniem
Wojciech Tyblewski.

Poznań, 17. 11. 1956 r.

Do wiadomości:
CRZZ — W. Kłosiewicz
MRN — Z. Wólmiewicz

KOMEDIA MUZYCZNA:
„Rozkoszna dziewczyna“

DYREKCJA:

Zb. Szczerbowski

REŻYSERIA:

Zb. Szczerbowski

B yłam na tej wstrząsającej premierze.

Kurtyna odsłania widzący zgnie środowisko świata zachodniego. Paweł — młody, ale biedny milioner, ukrywający się w luksusowej willi na Florydzie (zda się USA) jest tylko pozornie skromnym referentem w ministerstwie. W rzeczywistości prowadzi on ryzykowną, ale postępową walkę konspiracyjną, polegającą na zdobyciu względów Ludwiki, córki imperialistycznego dzierżymordy — dyrektora departamentu w ministerstwie, gdzie młody rewolucjonista jest referendarzem.

W toku dramatycznej akcji godnej smyczki Paganiniego okazuje się, że w willi działa herszt bandy gangsterów — rzekomy malarz Feliks. Wkradł się w łaski Pawła (nie mylić z łaską boską!) pragnie on w imię typowo zachodniej przyjaźni uwikłać tego ostatniego w powikłania z pewnym czekoladowym koncernem. Jednakże przeszkadza mu w tym jedna z najzdolniejszych agentek FBI (amerykańskie UB) — Krystyna, która pod podszytym wiatrem płaszczykiem miłości do Feliksa, strzeże Pawła. W celu zapewnienia sobie powodzenia w tej mroźnej krew w żyłach historii — świetnie udaje idiotkę (najlepsza kreacja!). Mniej więcej w tym samym czasie na scenie pojawia się, ale... nie uprzedzamy faktów.

A więc mniej więcej w tym samym czasie sielanekę w willi przerywa pewnej burzliwej nocy pojawienie się na scenie pięknej nieznajomej. W tym momencie Feliks, ażeby odwrócić od desek teatru uwagę publiczności — wykonuje ewolucje taneczne i tak charakte-

rystyczne dla slumsów Harlemu sztuki z zapalkami. Publiczność wyje z duchowej rozkoszy. (Swoją drogą trzeba przyznać, że tak niedoceniana przez Warszawę publiczność poznańska ma jednak wyjątkowo dobry smak).

Spektakl kończy się opadnięciem kurtyny (czerwonej — przyp. red.).

Teraz kilka słów o grze aktorskiej. Teatr składa się z wejścia i dekoracji Adama Bilskiego. Wreć nie można nie doznać wrażenia, że on właśnie jest ich twórca. Dyrektor ma ujmującą żonę i kieszenie. Jeżeli zaś chodzi o teatr w Polsce Ludowej, to ten ma u nas wiele do zrobienia.

Na zakończenie — o szczegółach technicznych. Tak się już złożyło, że aktor odtwarzający postać Pawła dał raczej drewnianą, ale dosyć przekonującą interpretację tej trudnej roli, mającej swoje sceniczne odpowiedniki chyba tylko w postaciach Hamleta i Dymy. Rozkoszna dziewczyna jest prosta i niewybredna, ale Feliks, to co innego. Nerw prester-digitalatorski czyni zeń świetnego śpiewaka. Agentka FBI (amerykańskie UB) wyzwoliła w mało zaangażowanych we Froncie Narodowym widzach instynkty atawistyczne. Ogólnie — czarujące przerażenie.

W Poznaniu coś się rusza. Rusza od wewnątrz. Oklaski dość liczne, widzów około 600. A więc niech się rusza. Jestem szczęśliwa, że właśnie mnie przypadło w udziale recenzowanie tej tragedii. Droga przed nami daleka, lecz własna. Ciąsna, ale własna.

Aha, jeszcze jedno: warto i trzeba zaznaczyć, że dyrektor Szczerbowski twórczo rozwija myśl Vittoria de Sica. Aktorów dobiera z ulicy. Chwała mu za to, bo gdzie kryją się talenty jeżeli nie na ulicach?



Piękne wdzianko z grubej samodziłowej żółtej wełny, zrobione na drutach (1 kg wełny), zapięte na trzy brązowe guziki. Do tego jako komplet czapeczka, szalik i rękawiczki z wełny w kolorze guzików.



Clisszza! Dziś łowią rekiny! Rys. H. Derwick

Traszk

Andrzej Napierała

ZIMNY PRYSZNIC

„Dla ciebie skoczę w ogień!“
— powtarzał jak szalony.
— Koniecznie chcesz skakać?
To skocz... po steelony!

O KRYTYCE

Niekoniecznie ten jest anty,
Kto dyrekci wytknął kanty.

T.H.N.

W sprawie krótecek

Jesteśmy bardziej wykształceni niż przypuszczaliśmy. Rozwiązujemy trudne problemy i poziom krytyki z pasją podziwu godną, i z wynikami, jakże imponującymi: kląteczki wypełnione co do joty, i choćby trzeba odgadnąć na przykład: „złota rybka, lecz nie pływaj“ — nic to, brykamy po encyklopediach, podręcznikach ichnologicznych aż do upadłego, nie ustepujemy, aż nie znajdziemy tej przeklętej rybki.

Uważam, że krytycy stają się z wolna zbyt łatwie. Zdać mi się, że sam zacząłem układać krytyki. Ho, moi drodzy, nie pójście Wam teraz tak gładko. Tu już nie pomagają telefony do uczonych, profesorów uniwersyteckich, czy wybitnych geologów, lekarzy, literatów. Tu już trzeba będzie szukać odpowiedzi za granicą, w wielkich bibliotekach: Paryża, Amsterdamu, Bazyli czy Promna. Tu już trzeba będzie orientować się w krewiświecie Dżingis-Chana i znać datę operacji migdałów Henryka Pobożnego. Mam zresztą ogromny spis takich pytań do krytyków, więc pozwólcie, że uchyłę nieco rąbka tajemnicy i przytoczę tu kilka fenomenalnych moich chwytów.

Oto one:

Dopływ Warty u jej źródeł:

Drobna moneta Inków;
Inaczej placz kolibrów;
Autor powieści „Nagniotki“;
Znany cynik na S;
Świnia zdrobniale (nie świnka);
Numer buta Zagłoby;
Kraj na X;
Aktor z dużym nosem;
Dystrybucja Inaczej (nie granda);
Inaczej brakorobstwo (nie chole-
ra);

Tonacja świstu bobrów;
Gdy czego brak — (nie masło);
Papuga;

Koleżanka Lucynki (nie Paulinka);
Dziennikarze „Głosu“ (wspaki);
Udany film polski (można króte-
czek nie wypełniać);

Centralizacja zabytków muzeal-
nych (wazy goluchowskie);

Wartość trąb Jerychonskich w prze-
liczeniu na franki szwajcarskie
(fonetycznie);

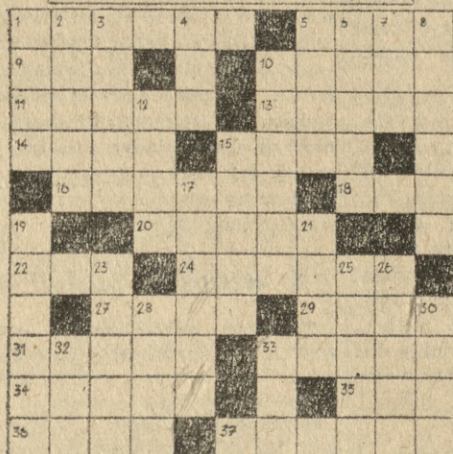
Imię żony kuzyna Hanibala (bez
trzeciej litery) i tak dalej i tak
dalej, proszę Państwa, z tym, że
wybrałem te najłatwiejsze. Pozo-
stałe pytania, a mam ich tysiące,
są znacznie trudniejsze.

Nawet na tu podane nie będziecie
umieeli odpowiedzieć. Zapew-
niam Was, wiem po sobie.

ZNACZENIE WYRAZÓW

Poznomo: 1) Siedzi-
ba władz miejskich, 5) los, 9) dowódca
janczarów, 10) bła-
zen, 11) ustep dźwięku,
13) budynek gospo-
darczy, 14) niechęć,
uraza, 15) kość, 16)
wybitna zdolność, 18)
imie pobytnika, 20)
rynek w starożytnej
Grecji, 22) spoidło,
24) roztrząsa, rozpra-
wia, 27) część opery,
29) korab, 31) drogi
kamień, 33) uczestnik
jednej z greckich
szkół filozoficznych,
34) starożytny budy-
nek do popisów mu-
zycznych, 35) trzy jed-
nakowe litery, 36) jed-
nen z miesiecy po
niemiecku, 37) tytuł
książeczki dla dzieci
Jana Brzechwy.

KRYŻÓWKA



Pionowo: 1) część należności, 3) szpęg, dywersant, 3) szacowa-
nie, określenie wartości, 4) odcinek
gry w tenisa, 5) dzień i noc, 6) o-
pęta, osaczy, 7) włoska jednostka
monetarna, 8) początek ustępu w
tekście, 10) sprzeciw przy grze w
karty, 12) duży pokój, 15) senten-
cja, zawierająca prawdę ogólną.

Rozwiązania prosimy nadsyłać do dnia 25 XI 1956 r. (decyduje
data stempla pocztowego), pod adresem redakcji „Głosu Wielko-
polskiego“ z uwagą „Rozrywki umysłowe“.

Dziś
w numerze:

Nowy dział: Kronika
wypadków (u dołu na
lewo!).

FERMOTY
SAMODZIELNY ORGAN MIKA

Nr 3.

Hasła MZFL

W związku ze zbliżającym się Dniem Lisa
Srebrnego, drukujemy hasła nadesłane
nam przez Międzynarodowy Związek FERM Li-
sich:

1. Niech żyją srebrne lisy!
2. Dzień Lisa Srebrnego, dniem solidarności
wszystkich lisów srebrnych!
3. Wszyscy do walki o pełną realizację planu
ferm lisich!
4. Stosujemy przodujące metody czesania sre-
brnego lisa pod włos!
5. Niech żyje twórcza współpraca ferm lisich
z bratnimi fermami bobrzyków i nutrii!
6. Walczmy o zwiększenie przepustowości kła-
tek i wybiegów!
7. Naprzód do pełnego zaspokojenia potrzeb
społeczeństwa w zakresie lisów srebrnych!
8. Hodowla lisów podstawą naszej gospodarki
kadrowej!
9. Dążymy do wychowu czystej rasy lisa kra-
jowego!
10. Wara wrogom od zdobyczy naukowych liso-
znawców!
11. Precz z klusownikami, godzącymi w naro-
dowy lisostan!
12. Niech żyją lisy! Niech żyje hodowla lisów!
Niech żyją perspektywy hodowli lisów! —
Niech ży...*

*) Ciąg dalszy (48 haseł) zamieścimy z okazji
Dnia Lisa Srebrnego w przyszłym roku.

nowe
książki

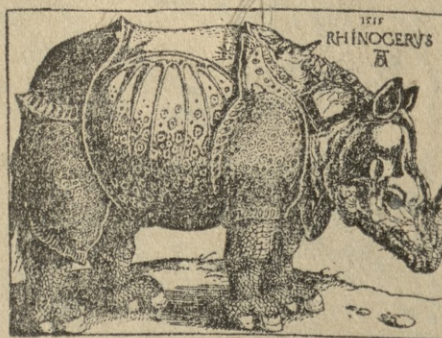
W. KRAŠKO: „Adapta-
cja budynków dla ce-
lów leczniczych“ (no-
wość)

Pozycja cenna i na
czasie. Temat dotych-
czas przemilczany przez
autorów, doczekał się
fachowego opracowania.

Kronika wypadków

Wychowanek Pozna-
nia, satyryk i artysta —
strad warszawskich —
Jerzy Ofierski donosi,
że udało mu się po wie-
loletniej pracy ukoń-
czyć nowy utwór saty-
ryczny. Swoim charakte-
rem odbiega on jednak
znacznie od dotychcza-
sowego dorobku twór-
czego. Córce... na
imie Małgorzata.

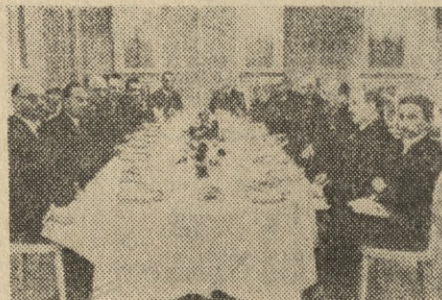
Z twórczości plastyków poznańskich



Lech Susicki: „Martwa natura“ (sgrafitto)

Ciekawe spotkanie

Ostatnio odbyło się
towarzyskie spotkanie
między zespołem re-
dakcji „Wyboje“ a dziennikarzami pism
dla starszych. Celem spotkania była wy-
miana doświadczeń w zakresie słowni-
ctwa dziennikarskiego i metod polemiki.
Na zdjęciu: po lewej — „Wyboje“, po
prawej — old-boye.



(Fot. Matuszewski)

naszym zdaniem

MOŻE JEDNAK ZA
WCZESNIE byłoby likwi-
dować najwyższy pań-
stwowy organ planowa-
nia, na którym wiesz-
cie obecnie — tzw. psy.
Życie uczy, że od cza-
su do czasu instytucja
ta miałyby co robić, na
wet teraz i nawet wśród

dziennikarzy, którzy tak
bardzo PKPG nie lubią.
Oto zdania wyjęte z
artykułów, jakie ukaza-
ły się po VIII Plenum:
„Trzy dni, które wstrzą-
snęły Polską“.

(SWIAT nr 44 str. 3)
„...kiedy odzywają we
mnie nastroje owych
czterech dni, które
wstrząsnęły Polską“.

(PO PROSTU, nr 44,
str. 3)
„Nie będę próbowała
opisywać, cośmy przez-
żyli w ciągu pięciu dni,
które wstrząsnęły Pol-
ską“.

PRZEGLĄD KULTU-
RY nr 44 str. 8)
KOMENTARZ: Nie
dziwny się teraz, że
„Wolna Europa“ nie wie-
rzy w naszą jedność.

odpowiadamy

„Zainteresowana“ —
Sprawę zbadaliśmy. Au-
torzy biorący udział w
Wieczorze Poezji Miło-
snej, nie mogli wysta-
pić nago. Lokal był nie-
ogrzany.

Anegdoty

W jednym z teatrów lon-
dyskich wystawiano sztukę
Shawa. Wszystkie miej-
sca były wyprzedane. Pu-
bliczność kilkakrotnie wy-
woływała autora, który
przyszedł na premierę i po
długotrwałych oklaskach
zjawił się na scenie. Nagle
wśród burzliwych owacji
rozległo się gwiżdżanie.
Shaw machnął ręką, żeby
publiczność się uciszyła i
powiedział pod adresem
gwiżdżącego widza:

— Całkowicie się z pa-
nem zgadzam, ale co my
dwaj możemy uczynić prze-
ciwnie wszystkim widzą!!
(B)



Bez podpisu
(Schweizer Illustrierte)